

Ryszka, Franciszek

"Patrząc na Niemcy. Od wrogości do porozumienia, 1945-1991", Mieczysław Tomala, Warszawa 1997 : [recenzja]

Dzieje Najnowsze 29/4, 193-197

1997

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Mieczysław Tomala, *Patrzę na Niemcy. Od wrogości do porozumienia, 1945-1991*, Warszawa 1997, Polska Fundacja Spraw Międzynarodowych, ss. 526

Przyznam, że nie lubię i nie umiem pisać recenzji, które zaczynają się (a nieraz kończą) na streszczeniu całości punkt za punktem, rozdział za rozdziałem, z nieodłącznym podsumowaniem i wnioskami, zawierającym zwykle ocenę ze wskazaniem — czytać czy nie czytać? Wolę pisać o książkach, z których się czegoś nauczyłem, albo takich, co zmuszają do refleksji, co zwykle na jedno wychodzi. Proszę więc wybaczyć, że tak postąpię i tym razem. Przy okazji powiem, iż liczba książek, jakie warto albo trzeba przeczytać, wcale nie maleje, trudno się tedy tłumaczyć samym przywiązaniem do lektur młodości i wieku dojrzałego, a także osłabieniem aktywności intelektualnej, która przychodzi ponoć z wiekiem. Konkluzja: zabrałem się do czytania książki prof. Tomali, by skonstatować, że odpowiada obu wyżej wspomnianym kryteriom. Zacznę więc od pierwszego.

Z niewielką chyba przesadą dałoby się powiedzieć, że ta książka stanowi *opus magnum* w pokaźnym dorobku Autora, na który składają się głównie studia ekonomiczne w aspekcie niemiecko-polskim, europejskim i ogólnym, czyli teoretycznym, jakkolwiek wątki teoretyczne nie wydawały mi się ich najmocniejszą stroną. W każdym razie sprawy niemieckie są nie tylko tematem nr 1, lecz jakby i klamrą spinającą twórczość pisarską Tomali, bo też mało kto w kraju ma taką erudycję jak on, wywodzącą się z różnych źródeł i różnych etapów życia. W toku długoletniej znajomości z prof. Tomalą, czyli od czasu, gdy w 1960 r. przejąłem po nim Zakład Zagadnień Niemieckich Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, uczyłem się od niego wielu rzeczy objętych wówczas niezbyt fortunną nazwą „niemcoznawstwo” (metodologicznie to taki sam niewypał, jak „sowietologia”).

Wiedza i merytoryczne kompetencje Mieczysława Tomali łączą się z jego wieloletnią służbą w dyplomacji PRL z czasów, gdy osiągnęła ona swój historyczny — nie zawahałbym się powiedzieć — sukces, jakim było podpisanie układu granicznego z RFN w grudniu 1970 r., daty, która się utrwaliła w skali światowej ze względu na *Kniefalle* Willy Brandta przed pomnikiem Bohaterów warszawskiego Getta. Do tej pory podobny gest w Polsce wykonał tylko Albrecht Hohenzollern przed Zygmuntem I w Krakowie.

Boję się, że skłon Brandta uchodzi z pamięci Polaków, a bardziej jeszcze Niemców. Widziałem na własne oczy z bliskiej odległości, jak to w październiku 1980 r. ściskali się Tadeusz Mazowiecki z Helmutem Kohlem, ale to nie daje się porównać.

Dr Mieczysław Tomala, zanim jeszcze został profesorem, poświęcił kawał życia urzędowo-dyplomatycznym kontaktom z Niemcami. Dekada między przełomem lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych a podpisaniem układu granicznego w 1970 r. to okres szczególnie ważny w karierze naszego Autora, który poświęcił mu znaczny fragment książki (rozd. 9/10 do 15, s. 119-332), poświęcił zaś nie dlatego, że były znaczące i ciekawe w jego życiu, ale że były bardzo ważne dla Polski. Zresztą nie przesadzajmy. Tomala funkcjonował w drugim czy trzecim rzucie dyplomacji polskiej, zbyt niskim dla poziomu decyzyjnego, dostatecznie wysokim, aby wiedzieć to, co znajdowało się poza zasięgiem opinii publicznej, albowiem żadna dyplomacja nie znosi nadmiernej jawności, by rzeczywiście stać się skuteczną, to znaczy doprowadzić do kompromisu uznanego przez obie (lub więcej) strony, aczkolwiek niekoniecznie na zasadzie dokładnie wymierzonej symetrii.

Czy polska dyplomacja odpowiadała takim standardom? Moje osobiste, o wiele skromniejsze doświadczenia z pracy w PISM (1961-1965) upoważniały mnie do takiego twierdzenia, ale właściwe potwierdzenie znajduję dopiero teraz w omawianej książce. Zadaje ona

kłam, w sposób rzeczowy i spokojny, kolportowanym natrętnie wyobrażeniom, jakoby cała historia stosunków politycznych między Polską a Niemcami zaczęła się dopiero w 1989 r., ponieważ wcześniej polskiej polityki zagranicznej po prostu nie było, cokolwiek zaś się w tej relacji działo, było dyktatem Moskwy wedle jednego, raz na zawsze założonego scenariusza. Postać Władysława Gomułki, bohatera tego okresu, deprecjonuje się lub zgoła ośmiesza, a cały porządek jałtański, który — mimo swoich egoistycznych założeń (dla wszystkich jego twórców) dał światu pokój, a nam przysporzył bogactwa — pokazuje się jako jedno pasmo nieszczęść. Różnym propagandystom dzisiejszej rzeczywistości, nie mówiąc już o niedoukach, którzy obsiedli nasze mass media, proponowałbym parę lektur z tamtego okresu, np. teksty Krzysztofa Skubiszewskiego, zwłaszcza jego najlepszą książkę (wydaną jeszcze przed podpisaniem układu granicznego) *Zachodnia granica Polski* (Gdańsk 1969, Instytut Bałtycki, ss. 630 + mapy), która wystawia wysokie świadectwo samemu autorowi, lecz również — jakże dziś deprecjonowanej — humanistycie polskiej tamtego okresu. Książka prof. Skubiszewskiego opatrzona jest wprawdzie klauzulą „na prawach rękopisu” i kosztowała wówczas 100 zł za egzemplarz (co było ceną na owe czasy astronomiczną), ale wyszła w 1000 egzemplarzy, więc w nakładzie, jak na trudny traktat naukowy, dość znacznym.

Wróćmy do książki naszego Autora. Jej trzon stanowią wydarzenia z sytuacji dla polskiej dyplomacji trudnych. Jeśli Moskwa nie była w stanie dyktować, to z całą pewnością mogła utrudniać nasze postępowanie, głównie dlatego, że wolała prostą drogę do Bonn z pominięciem Warszawy, w Bonn zaś zdania były podzielone. W spadku polityki Adenauerowskiej pozostał jakby imperatyw, że wszystkie sprawy na wschodzie trzeba załatwiać *via* Moskwa. Dopiero koalicja Brandt-Scheel wyprostowała kierunki, ale nie uczyniłaby tego, gdyby nie fakt istnienia NRD z enklawą zachodniobrzeżną. Były burmistrz Berlina Zachodniego wiedział o tym lepiej od innych polityków, skoro z tym faktem miał do czynienia na co dzień. Wprawdzie to wszystko jest już historią. Aliści na tym odcinku jej przebiegu wymagana była ciągłość. Niemcy zachodnie starały się usilnie, aby ją utrzymać nie tylko gwoli powrotu do terytorialnego stanu posiadania (począwszy od zjednoczenia), bo to wydawało się zadaniem na pokolenia, ale gwoli przekreślenia innych niż terytorialne skutków wojny.

By taką ciągłość przywrócić, trzeba było udać się właśnie do Warszawy, i to w możliwie bliskiej kolejności. Była to podróż w przestrzeni nie tylko geograficznej, lecz politycznej, a więc zarówno w sferze doraźnych, jak i dalekosiężnych interesów, lecz również w sferze emocji. Taka „podróż” do Warszawy nie mogła stać się turystyką rozrywkową ani — tym bardziej — paradą spektakularnych testów na wzór spotkania Adenauera z de Gaulle'm w 1963 r.

Tymczasem w Warszawie, ściślej mówiąc w całej Polsce, a jeszcze ściślej — w jej opiniotwórczych kręgach, utrwał się złowrogi obraz Niemiec zachodnich, któremu przeciwstawiano „miłujące pokój” Niemcy wschodnie, czyli NRD. Tomala przywołuje w swojej książce znamienne głosy w tej sprawie, np. znaczącą polemikę z artykułem Leopolda Tyrmanda w „Tygodniku Powszechnym” ze stycznia 1968 r. (s. 121-132), kiedy to Tyrmand próbował przekonać, iż Niemcy na zachodzie są w gruncie rzeczy inni — ani tacy krwiożerczy, ani tacy nieprzyjaźni Polakom, jak to malowała oficjalna propaganda m.in. za sprawą naszych korespondentów zagranicznych. Ważne jest to, co odkrywa przy tej okazji Tomala. Otóż, przeciw Tyrmandowi wypowiedzieli się poważni publicyści „Tygodnika”, i to w duchu podobnego poczucia zagrożenia, jakie prezentowała propaganda oficjalna. Wniosek stąd, że zagrożenie nie było tylko (manipulowanym czy autentycznym) udziałem wyżej wzmiankowanej propagandy, ale odczuwane bywało w kręgach na taką propagandę niepodatnych i zgoła im prze-

ciwnych. W tej sytuacji znaczyło to pośrednie wsparcie dla Gomułki, a to trzeba wyraźnie powiedzieć. Tomala ma oczywistą rację, opisując swoje kontakty w RFN z tamtego czasu. Jego rozmówcy, partnerzy, znajomi z tej „dobrej” strony na scenie politycznej (czyli ci, których dostrzegał przede wszystkim Tyrmand) wyrażali przecież swoiste *double think*. Co innego mówili w zaciszu domowym, czyli innych kontaktach prywatnych, co innego głosili w wypowiedziach oficjalnych. Uznanie za trwałą i godną oficjalnej akceptacji granicę na Odrze i Nysie było w Niemczech zachodnich tabu, nawet gdy na horyzoncie nie jawiły się najmniejsze szanse, iż ten stan rzeczy może ulec zmianie w dającej się przewidzieć przyszłości, jak też nikt tam nie przewidywał zjednoczenia dwóch państw niemieckich.

Wyobrażenia i związane z nimi poglądy po obu stronach zmieniły się w następnej dekadzie, czyli od połowy lat sześćdziesiątych. Niemcy mogli czuć się silniejsi i bardziej pewni siebie, u nas przybladł mocno blask reform popaździernikowych, a razem z tym przekonanie o wartości poczynąń reżimu na forum międzynarodowym, osobliwie — w kwestii niemieckiej. Dość znaczącym epizodem, ale z rezonansem znacznie słabszym w RFN niż to się dziś przypisuje, było Orędzie biskupów polskich do Episkopatu Niemieckiego (5 grudnia 1965 r.) ze znanym zwrotem „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. Tomala komentuje ten epizod oględnie (s. 212 i n.), ale nie ukrywa, że list nie wywołał w Niemczech oczekiwanego wrażenia, czyli że akt można by nawet nazwać niewypałem, gdyby użyć w związku z tą sprawą kategorii politycznych. Sprawa wywołała natomiast istny paroksyzm gniewu Gomułki i skonfliktowała jeszcze dodatkowo napięte stosunki z Kościołem i znaczną częścią opinii publicznej, choć nie byłbym taki pewny, iż była to część znacząco większa.

Nie wątpię jednak, iż pojawiła się osobliwa zachęta, i to bynajmniej nie od samego Gomułki, aby powrócić na ścieżki wojenne wojny psychologicznej z Niemcami, o czym pisze Tomala (s. 236 i n.), analizując głośne w tamtym czasie utwory literackie, publicystyczne i reportażowe (Brycht, Walichnowski i in.), w których wskazywano raz na złowrogię knowania Niemców, związek ich aspiracji antypolskich ze „syjonizmem” i — co wydaje mi się najważniejsze dla psucia klimatu politycznego w kraju — na atak w stronę inteligencji i ośrodków akademickich wciąż jeszcze raczej sprzyjających polityce zagranicznej PZPR albo — mówić oględniej — nie rozczarowanych do końca.

Jesteśmy przecież w okresie poprzedzającym osławiony „marzec '68”, kiedy to można się było zaledwie domyślać konfrontacji z siłami zdrowego rozsądku, bo o to najpierw chodziło. „Marzec” odczytuje się dzisiaj jako haniebną akcję antysemitką. Wedle kryteriów zarówno chronologicznych, jak i rzeczowych jest to błąd, jakkolwiek prawdą jest, że wszystko skrupiło się na Żydach, nie pierwszy raz zapewne i boję się powiedzieć, że nie ostatni. Nie było to wyznalazkiem polskim; modelem idealnym wydaje mi się sprawa Dreyfusa. Przecież praźródła „marca” ujawniają się znacznie wcześniej, a sprawa stosunku do Niemców na pewno do nich należy.

Paradoks chce, że w tym samym czasie toczą się (tajne głównie) negocjacje między rządem polskim i rządem zachodniemieckim, w których stronę polską reprezentuje podsekretarz stanu w MSZ, Józef Winiewicz, stronę niemiecką — ambasador w stanie spoczynku, Georg Ferdinand Duckwitz. Różnica rang dyplomatycznych negocjatorów nie wydaje się przypadkowa, lecz nie sądzę, aby przeszkodziło to w finalnej fazie rokowań. Obaj negocjatorzy wykonali dobrą robotę, wiadomo mi zaś skądinąd, że negocjacje toczyły się wedle wszelkich reguł sztuki, świadcząc o suwerennej postawie negocjatorów polskich.

Gomułka miał przeciwko sobie władzę NRD, nieufność i niezyczliwość Kremla, a także znaczącą część własnej (czytaj: partyjnej) opinii, do której dołączała się frakcja „katolików

reżimowych" (PAX i pewne środowiska poza PAX-em) oraz dostatecznie liczni przedstawiciele środowisk uważanych za opiniotwórcze, raz dlatego, że inicjatywa była właśnie „reżimowa”, dwa — ze względu na silne resentymy antyniemieckie, pleniące się dość szeroko, a niezależnie od orientacji politycznej. Wszystko to zostało odnotowane w książce Mieczysława Tomala, jakkolwiek sporo jeszcze spraw pozostaje nie wyjaśnionych, np. losy Erwina Weita, który był tłumaczem Ulbrichta w rozmowach z Gomułką, po czym (na początku lat siedemdziesiątych) wyjechał (legalnie) do RFN i publikował w „Der Spiegel” smakowite fragmenty tych rozmów. Weit wydał później teksty ze „Spiegła” w książce, niedługo zaś po tym fakcie zginął w wypadku samochodowym pod Hamburgiem. Nie lubię historii spiskowych, ale w tym wypadku taka interpretacja może wydać się dopuszczalna.

Nie budzą natomiast wątpliwości fragmenty recenzowanej książki dotyczące podpisania grudniowego układu i wizyty Brandta w Warszawie (s. 282 i n., 316 i n.). Tomala brał udział w samych uroczystościach, co jednak ważniejsze — był tłumaczem Gomułki i Cyrankiewicza w rozmowach z Niemcami. Nasz Autor jest po prostu człowiekiem najlepiej poinformowanym spośród wszystkich świadków zdarzeń. Szczególnie ważny jest wątek odszkodowań za represje i inne poczynania hitlerowców, których to odszkodowań domagała się strona polska — zresztą w sposób niejasny i niekonsekwentny. Uderza natomiast konsekwencja strony niemieckiej aż po dzień dzisiejszy. Rządy niemieckie, tak samo dawniej, jak i teraz gotowe są płacić tylko wtedy, gdy muszą i z reguły na zasadzie *do ut des* albo *do ut facies* — jak w przypadku operacji zwanej „łączeniem rodzin”, czyli emigracji do Niemiec mieszkańców Polski (głównie z Górnego Śląska) w zamian za kredyty inwestycyjne dla ekipy Gierka.

Gierek, skoro już o nim mowa, zyskał nad podziw wysokie notowania w rządach koalicji socjaldemokratyczno-liberalnej w Bonn, kiedy po ustąpieniu Brandta ster objął Helmut Schmidt. Jednakże opinia, jaką można przypisać pojęciu „porozumienia”, funkcjonowała na zasadzie szerszego zaplecza, osobliwie w kręgach elitarnych, to znaczy intelektualistów uniwersyteckich, choć byli to głównie profesorowie historii najnowszej, nauk politycznych, socjologii i pokrewnych dyscyplin, gdzie orientacja lewicowa wydawała się wówczas regułą. W każdym razie przed debatą ratyfikacyjną układu z grudnia 1970 r. (wiosna 1972 r.) w kilku głównych dziennikach zachodniemieckich (tzw. *Ueherregionale*) ukazało się płatne ogłoszenie na rzecz ratyfikacji układu, zaopatrzone w ok. 200 podpisów, w tym wielu profesorów wymienionych dyscyplin o nazwiskach głośnych nie tylko w niemieckiej strefie językowej. Porozumienie zyskuje tedy nowy wymiar, jakkolwiek jest to wciąż wymiar ograniczający się do górnych warstw społeczeństwa, a nadto nie pozbawiony elementów instrumentalnych. Polska była w tych kręgach przedstawiana, nie bez racji, jako zaprzeczenie NRD — co dotyczy *quantum* wolności swobody poruszania się, nawiązywania stosunków międzyludzkich i przyswajania wartości innych niż urzędowo przepisane, co sprzyjałoby „duchowi Helsinek”. Mieczysław Tomala starannie dokumentuje ten okres na tle opinii w obu krajach, bardziej jednak w Polsce (s. 418 i n.). Czyni to jednak bez złudzeń, co dotyczy szerszych, zwłaszcza etycznych i aksjologicznych konsekwencji „porozumienia”.

Aliści ani w tamtym czasie, gdy doszło do ewidentnej poprawy, ani też i dzisiaj, gdy czasy są zupełnie inne, nie sposób mówić o jakimkolwiek „pojednaniu”, trzymając się słownikowej definicji tego pojęcia. Nie powiem, że jest akurat odwrotnie, czyli napięcia między Polakami i Niemcami są silniejsze, niż były w czasach gierkowskich albo za panowania stanu wojennego w Polsce, gdy ponoć 30 mln paczek żywnościowych w prezencie od Niemców wylądowało w polskich gospodarstwach domowych. Nie powiem, że stało się przyjętą konwencją uważać Polaków za złodziei samochodów, przemytników papierosów i — co gorsza „twardych”

narkotyków, osobiwie amfetaminy, uchodzącej za polską *specialite de la maison*. Kontakty stały się nieporównanie liczniejsze ze wszystkimi objawami ryzyka, nie tylko z tytułu naszych grzechów, lecz — w równym chyba stopniu — za sprawą niemieckiej ksenofobii i panoszenia się radykalnej prawicy. Tak czy owak opinia o nas jest zła, czy tylko gorsza od spodziewanej. Lecz to już nie należy do książki Mieczysława Tomali. Sądzę, że powinna ona stać się lekturą obowiązkową dla dziennikarzy. Tych, co bezkrytycznie opowiadają o „pojednaniu”, i tych, co zachowują pewien krytycyzm, ale wciąż zdaje się im, że historia zaczyna się w 1989 r., podczas gdy znacznie wcześniej działo się tak wiele zdarzeń — być może bardziej ważnych.

Franciszek Ryszka
Warszawa

Aspekte der Zusammenarbeit in der Ostmitteleuropa-Forschung. Tagung des Herder-Instituts und des J. G. Herder-Forschungsrates am 22./23. Februar 1994,
red. H. Weczerka, Marburg 1996, ss. 116

Wydany w wydawnictwie Instytutu Herdera w Marburgu tom zawiera materiały z jednej konferencji, ale dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, o „możliwościach współpracy Niemiec i państw Europy Środkowowschodniej w badaniach nad Europą Środkowowschodnią”. Po drugie, z ceremonii usamodzielnienia się Instytutu Herdera w nowej formie organizacyjnej, nadanej Instytutowi po przemianach 1989 r.

O samych możliwościach współpracy nie można dowiedzieć się zbyt dużo, i to niezależnie od poszczególnych referentów. Pod tym względem jest bowiem omawiana publikacja niespójna i niepełna. Zakres zainteresowań Instytutu Herdera obejmuje Polskę, Czechy, Słowację i trzy państwa bałtyckie. Tymczasem perspektywy badań prezentują: Rex Rexheuser — polsko-niemieckiej, Jan Kren — czesko-niemieckiej, geograf Horst Forster — badania regionalne na przykładzie problemów rejonów progranicznych i Hartmut Boockmann — na przykładzie historii uniwersytetu w Królewcu. Jest to obraz bardzo wyrywkowy.

Podobnie jest z prezentacją osiągnięć i perspektyw działających przy Radzie Naukowej Instytutu Komisji Badań Historycznych. Spośród siedmiu komisji omówiony został w publikacji dorobek tylko trzech (Historische Kommission für ost und westpreuBische Landesforschung, Baltische historische Kommission, Historische Kommission der Sudetenlander). Wydaje mi się, że odzwierciedla to sytuację, w której — po burzliwych dyskusjach i zastanawianiu się nawet nad likwidacją Instytutu Herdera — nie ma jeszcze zwartej koncepcji przyszłych badań. Ponadto referującym ciążył, przebijający się w wystąpieniach, problem braku środków finansowych po cięciach budżetowych.

Ale osoby zainteresowane historią Europy Środkowowschodniej powinny zwrócić uwagę na powyższą publikację, ponieważ zawiera ona omówienie zmian organizacyjnych w niemieckich badaniach nad tym obszarem. Zasadniczą ideę stanowi nadanie Instytutowi Herdera w miejsce roli ośrodka badawczego znaczenia jako ponadregionalnego centrum koordynacyjno-informacyjnego (Serviceeinrichtung). I zrozumiałe, że taka zmiana musi trwać dłużej. Istniejący od 1950 r. Instytut Herdera stał się od 1994 r. samodzielną instytucją naukową. 1 lipca 1995 r. dyrektorem Instytutu mianowano dr. Hugo Weczerkę. Wybrano nową radę naukową, a w niej m.in. profesorów Hartmuta Boockmanna, Rexa Rexheusera i Henryka Samsonowicza.